

BEZ POŻEGNANIA

BARBARA
RYBAŁTOWSKA
BEZ POŻEGNANIA

SAGA
„BEZ POŻEGNANIA”
TOM I



AXIS MUNDI

PROJEKT OKŁADKI: Natalia Harańczyk
SKŁAD: Positive Studio
ZDJĘCIA AUTORKI: Marta Szełichowska
REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szełichowska
REDACJA I KOREKTA: Elżbieta Makowska
KOREKTA: Iwona Hardej
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

WYDANIE VI

ISBN: 978-83-8383-181-4
EAN: 9788383831814
ISBN E-BOOK: 978-83-8383-183-1

Copyright © by Barbara Rybałtowska
Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



*Mojej niezwykłej Matce
książkę tę poświęcam.*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Siedzieliśmy z Anulą w ogrodzie za domem i przebierałyśmy grzyby. Śliczne, młode borowiki leżały oczyszczone na stole w altanie. W koszach były też kurki i maślaki, ale na razie wybierałyśmy tylko prawdziwki.

- ...osiemdziesiąt cztery, osiemdziesiąt pięć... - liczył Kazio.

- Ale będą pyszności! Już mi ślinka kapie - cieszył się Piotr.

- Oczywiście zjemy je na kolację?

- Nic z tego! Są do marynaty - powiedziałam.

- Co? Nie na sos? Sadystki! Wyciągają mnie z łóżka przed świtem i nawet nie dadzą spróbować! Nie możecie sobie marynować tych, które zbierzecie, kiedy wyjadę?

- Możemy. Naturalnie, że możemy - zgodziła się Anula. - Zaraz powiem Maciejowej, żeby zrobiła sos.

- Uwielbiam cię - oświadczył Piotr. - Powinienem był ożenić się z tobą, Zosia jest dla mnie zbyt surowa.

- Widocznie mam powody, oszczerco - roześmiałam się.

Piotr przyjechał do nas na trzy dni i jutro musi wracać do Warszawy. Siedzimy tu z Kasią już od czerwca. Kiedy mąż oświadczył mi, że wysyła nas na lato do brata w Hajewiszczach, byłam niezadowolona. Dopiero na Wielkanoc wprowadziliśmy się do mieszkania na Freta, jeszcze się do końca nie urządziliśmy. Gdybyśmy, jak tego chciałam, wyjechały do Urli, mogłabym zostawiać córeczkę z naszą służącą Helą

i wpadać do domu, żeby mu nadać szlifu. Piotr jednak nie ustąpił. Miałam do niego żal. W połowie czerwca przywiózł nas do Hajewiszcz, demonstrując wielką radość. Sam miał ochotę tu przyjechać. On zawsze postawi na swoim...

Tak to było, a teraz jestem urzeczona tym miejscem i gospodarzami. Z radością przyjąłam więc wiadomość o ofiarowanym nam przez teściów kawałku ziemi pod budowę. Daleko od Warszawy, ale od czegoż komunikacja? Zresztą Piotr zamierza nabyć samochód, żeby łatwiej było nam nadzorować budowę. Ziemia nasza leży między Iszkołdzą a Hajewiszczami, jest zalesiona wokół polany. To na niej stanie nasz dom letni, na górcie otoczonej dębami, nazwaliśmy więc to miejsce „Dębową Górką”.

Witkowie sprowadzili się do Hajewiszcz przed sześciu laty, po śmierci ojca Anuli. Rozbudowali i tak obszerny już dom i teraz to istna rezydencja. Widzę, że powodzi im się naprawdę dobrze, mają paru parobków i kilkoro służby do różnych zadań. Anula tylko zarządza pracami w domu i resztę czasu poświęca dzieciom. Ma ich troje. Witek, jej mąż, jest starszy o dwa lata od Piotra i poza zewnętrznym podobieństwem zupełnie inny. Bardzo despotyczny i niecierpliwy, a również wymagający wobec najbliższych, choć czarujący dla gości. Anula jednak miewa z nim często „pański krzyż”. Ja bym tego nie zniosła, ale ona, żywiąc do Witka uczucia wieropoddańcze, chyba nie widzi w tym jego zachowaniu nic niezwykłego. Zanim się z nią ożenił, musiała biedaczka rywalizować z nie byle kim, bo z samą „piękną Wandą” – córką organisty z Iszkołdzi. Kiedy mi ją pokazała, pomyślałam, że drżałabym o Piotra, gdyby przebywał blisko niej. Nawet nie wiem, czy przydomek „piękna” jest najtrafniejszy w odniesieniu do Wandy. Ale jest w niej coś, co nie pozwala przejść

obok obojętnie. Czy to zmienny wyraz zielonych oczu, czy uniesiona wysoko głowa, czy też wybuchy wesołości, kiedy pokazuje piękne zęby? Jej żywiołowość chyba sprawiła, że nie zauważono nawet piegów i wszyscy kawalerowie z okolicy przez długie lata byli pod jej urokiem. Przebierała w nich, aż została starą panną. W każdym razie jej skromniejsze rówieśnice w miasteczku wszystkie już są zamężne, a ona wciąż wolna. Witka trzymała około trzech lat na postronku swojej łaski i niełaski.

Raz, kiedy go odsunęła, poznał Anulę, zaprzyjaźnili się i pod koniec wakacji on wyjechał na kolejny rok studiów do Wilna, zostawiając ją rozmarzoną i pełną nadziei. Pisywał nawet do niej, ale kiedy przyjechał na Boże Narodzenie, Wanda uśmiechnęła się do niego laskawie i zapomniał o Anuli. A ona cierpiała i czekała.

W czasie wakacji Wanda znowu odrzuciła Witka, ale tym razem cierpiał tak, że nie w głowie mu były inne dziewczyny. Zetknął go z Anulą na nowo przypadek. Po wieczorku towarzyskim Witek odprowadził ją i zaczęli się spotykać. Nie mówili o wspólnych uczuciach. Witek uznał ją za bratnią duszę, szybko jednak przestała się tym cieszyć, bo zaczął ją zanudzać, zwierając się jak siostrze, opowieściami o swych cierpieniach z powodu Wandy. Anula wysłuchiwała tego ze ściśniętym sercem, udzielała rad, a czasami wtrącała nieśmiało, że ona postąpiłaby inaczej.

Bo ty jesteś aniołem – mawiał Witek i tęsknił do Wandy. I wtedy właśnie zakochał się w Anuli młody Rynkowski. Witek zaczął wyrażać się o nim uszczypliwie i mówić, że nie jest wart takiej dziewczyny. Rynkowski przybył w te strony po raz pierwszy. Był przystojnym młodzieńcem ze Lwowa, miał kuzyna w Iszkoldzi, stąd się tu wziął. Zawróciło to trochę

w głowie Anuli, która z Hajewiszcz wyjeżdżała najdalej do I szkółdzi i Nieświeża, gdzie była na pensji. Raz czy dwa razy spotkała się z młodym Rynkowskim, a potem doszło między nim a Witkiem do jakiejś awantury. Podobno Witek publicznie go obraził. Lato się skończyło, młodzieńcy wyjechali, ale pierwszej niedzieli Witek wrócił i oświadczył się o rękę Anuli. Został gorąco przyjęty. Na Boże Narodzenie wzięli ślub i młody mąż wkrótce owinął sobie wokół palca łagodną Anulę.

Te i inne rzeczy usłyszałam od niej podczas długich letnich dni, kiedy nie rozstawałyśmy się, czy to chodząc po lasach, czy jeżdżąc bryczką po polach, czy siedząc z dziećmi w ogrodzie.

Mimo że matka moja wywodzi się z ziemian, prawie całe życie spędziłam w mieście. Jeśli nie liczyć wakacji roku 1919. Wtedy to w majątku babci Piaseckiej gęś wyrwała mi z ucha złoty kolczyk. Odebrano go jej, ale był zgnieciony. Z powodu przygody z gęsią pamiętałam te wakacje, kolczyki zaś w roku 1921, po odzyskaniu niepodległości, razem z innymi kosztownościami oddaliśmy na Skarb Państwa.

Babcia Piasecka zmarła w tym samym roku, wydawała mi się bardzo stara, a my już zawsze mieszkaliśmy w mieście.

Dlatego jestem zdziwiona, że będąc teraz tak długo na wsi, wcale się tym nie znudziłam. Przeciwnie, stałe obcowanie z przyrodą, liczne zajęcia gospodarskie, przy zbiorze owoców, sporządzaniu marynat i konfitur oraz biesiady przy księżycu i muzykowanie dostarczają mi wielu szczęśliwych chwil. No i Kasia ma się tu doskonale. Opaliła się i nie jest już taka nieśmiała, jak przedtem.

Jeździmy czasem do kina do miasteczka, a co niedzielę do kościoła. I zawsze jest co robić!

Piotr wykorzystał już swój urlop wiosną, kiedyśmy się przeprowadzili. Przyjedzie do nas za miesiąc, pierwszego września.

* * *

Jeszcze trzy dni i Piotr nas stąd zabierze. Nie wiem, skąd wzięła mi się ta niecierpliwość, bo do wczoraj przebywanie tutaj było samą radością.

Może powodem niepokoju stało się dzisiejsze poranne zdarzenie. Trzydniowy źrebak kopnął Zdzisia Anuli w brzusek. Alarm się podniósł wielki, na szczęście był Witek, wziął konie i powiózł go do lekarza w Horodyszczy. Kopnięcie okazało się powierzchowne, ale zostawiono małego w szpitalu na obserwacji i Anula została z nim także. Dzieci przycichły i mniej łobuzują.

Jeszcze lato w pełni, słońce grzeje jak w lipcu, może trochę więcej liści pożółkło w zagajniku pod lasem. Cudne są te spacery leśne, grzybobrania i wszystko. Tylko że brak mi już trochę naszego nowego mieszkania na Freta. Jeszcze się nie zdążyłam nim nacieszyć. I jakoś mi tęskno do Piotra.

Dziwnie to było z Piotrem. Kiedy zaczął się o mnie starać, bardzo mnie irytował. Nie lubiłam blondynów. Poza tym wydawał mi się za bardzo wymuskany, zbyt wygadany i w ogóle nie chciałam na niego spojrzeć. Zaczął bywać, gdzie ja bywałam, i jego komplementy pełne dowcipnych aluzji zaczęły robić na mnie wrażenie. Mimo że chłopcy nieraz okazywali mi zainteresowanie, żaden z nich nie adorował mnie w taki elegancki i nietypowy sposób jak on.

Już nawet nie pamiętam, jak to się zaczęło, że zmieniłam o nim zdanie. Chyba Bóg mnie natchnął. Wszystko, co przedtem wydawało mi się wadami, w zalety się nagle obróciło. To, że taki niespożyty w pomysłach, że duszą towarzystwa być lubi, dowcipy sypie jak z rękawa. Wszystko w nim jest niezwykajne, miłe i poezją owiane.

Właściwie niepodobny do nikogo z rodziny. Brat jego, Witek – elegancki w obejściu, energiczny, ale razi mnie trochę jego despotyzm. Dziwię się nieraz Anuli, że ten ciągły rygor tak cierpliwie znosi...

Ojciec Piotra przez długie lata wykładał grekę i łacinę w gimnazjum klasycznym w Wilnie. Przed paru laty, po ciężkiej chorobie gardła, musiał zaniechać nauczania, przeszedł na wcześniejszą emeryturę i osiadł w niewielkim mająteczku po rodzicach w Iszkoldzi, poświęcając się przekładom. Jest to poczciwy człowiek, chociaż mało przystępny, nie czuję się przy nim swobodnie. Piękna matka Piotra, o królewskiej posturze i nieprawdopodobnych fiołkowych oczach, jest przekonana, że nikt nie jest wart jej dzieci i ledwie mnie i Anulę raczy dostrzegać. Kocha jednak swoje wnuki, ale przy nas im tego zbyt nie okazuje.

Piotr i Witek po studiach w Wilnie poszli w dwie różne strony. Witek ożenił się z Anulą, córką osadnika wojskowego, i po śmierci swych teściów zaczął gospodarować w Hajewiszczach na wielką skalę, mając na podorędziu swoje ukochane lasy pełne zwierzyny łownej.

Piotr, duch niespokojny, ruszył na podbój Warszawy. Ich młodsza siostra Andzia nie posiada urody i wdzięku braci, ani ich lotnego umysłu, ale ma złote serce.

Cieszę się za Piotra, że dotąd ma rodziców. To prawdziwe szczęście.

Moja mama umarła, gdy miałam zaledwie dziesięć lat. Czasem wydaje mi się, że pamiętam ją doskonale, czasem znów, kiedy chcę sobie wszystko ze szczegółami poukładać w głowie, robią się nagle dziury w pamięci, dużo moich wspomnień jest tak ulotnych... Ojciec często zmieniał posady i jeździliśmy za nim z miasta do miasta. Mówiono, że pnie się w górę.

Mieszkaliśmy najpierw pod zaborem rosyjskim, ale miał tam zatarg z kimś ważnym z ich władzy. Po ostrej wymianie zdań, kiedy tamten chwycił za szablę, wyrwał mu ją i wyrzucił na dach szopy. Potem musiał się ukrywać.

Kiedy miałam cztery lata, wybuchła wojna. Były to straszne czasy, ale jakoś przetrwaliśmy. Pamiętam radość ludzi z odzyskania niepodległości. Tata zebrał sporo rodzinnych kosztowności i zaniósł w darze na Skarb Państwa. Wszyscy wokół tak robili, były to podniosłe chwile. Zapamiętałam je doskonale, bo oddaliśmy też moje kolczyki, z których jeden zgmiotła dziobem gęś.

W czasie wojny bolszewickiej, zaraz po urodzeniu Jani, mama zapadła na suchoty. Mimo to dbała o nas bardzo, byliśmy zawsze starannie ubrane i syte, chociaż ona czuła się źle.

Rodzice moi w tamtych latach mieli szerokie grono znajomych. Prawie w każdą niedzielę czy święto chodziliśmy z wieloma rodzinami na wycieczki, pikniki do lasu i na Zieloną Górę koło Częstochowy. Ludzie byli bardziej z sobą zżyci. Jadano się na trawie i śpiewało różne zakazane pieśni kościelne i patriotyczne, takie jak np. „Pod Twą obronę”, „Choć burza huczy wkoło nas” i inne. Mąż cioci Juli zabierał ze sobą skrzypce i przygrywał na nich. My, dzieci, wystrojone w falbany i białe pończochy, wzbijaliśmy kurz na drodze, a matki strofowały nas i załamywały ręce, że się tak brudzimy.

Ciocia Julia była nauczycielką. Już nie pamiętam, gdzie to było. Byłam mała i często się przeprowadzaliśmy. W każdym razie Kajtek i ja zaczęliśmy właśnie chodzić do szkoły. „Ba, be, bi, bo... ma-me-mi-mo” itd. uczyła nas czytać głośno ciocia Julia. Całą naszą klasę uczyła. Pamiętam, że specjalnie dużo mówiła do nas po polsku, a powinna była po niemiecku. Chyba było to w Częstochowie. Przyszedł raz niespodziewanie

Niemiec – wizytator. Zaczął nas przepytawać po niemiecku, a żadne z nas prawie nic nie rozumiało. Krzyczał na ciocię Julę, a ona była biała jak płótno. Wieczorami skarżyła się mamie, ale i tak potem uczyła nas po polsku.

Ciocia Julia jest córką naszej ciotecznej babki Melanii Piaseckiej, która wyszła za mąż za hrabiego Domańskiego. Byłam u niej przez trzy lata po śmierci mamy i wiele jej zawdzięczam. Kiedy u niej mieszkałam, była już uboga. Z dawnego świetnego życia pozostał jej tytuł i niemodne, pocerowane starannie suknie. Ubóstwo jej zresztą owiane było legendą. Jeszcze w ubiegłym wieku świeżo poślubiony jej mąż został wywieziony na Sybir. Było to wtedy, gdy miała przyjść na świat ciocia Julia. Zrozpaczona babcia usłyszała od kogoś o brawurowym porwaniu jednego z zesłańców z Sybiru przez rodzinę. Zaczęła wyprzedawać kosztowności, spieniężała, co mogła, i kiedy Julia trochę podrosła, ledwie stajały pierwsze śniegi, wyruszyła w podróż do Rosji. Oplacając coraz to nowe konie, dotarła aż do Wołody. Tam przekupiła miejscowe władze i niby „nieboszczyka” wydano jej dziadka razem ze świadectwem zgonu. Oplacając hojnie coraz to nowych „czynowników” carskich, jechali bocznymi drogami do Polski. Przeważnie nocami, a kiedy spotykali ludzi, dziadek kładł się do trumny. W ten sposób po paru miesiącach, wprawiając wszystkich w zdumienie, wrócili do kraju. Tymczasem władze carskie skonfiskowały resztę majątku. Babcia z Julcią i dziadkiem przenieśli się do Galicji. Ale dziadek zapadł na zdrowiu. Gryzł się tym, że rodzina dla ratowania go straciła wszystko i wkrótce zgasł. Pograżona w smutku babcia żyła odtąd ubogo, lecz godnie, nie skarżąc się nigdy na los, a jeszcze wdzięczna mu była, że choć na krótko, jednak wyrwała męża z niewoli.

W czasach kiedy ją znalazłam, była to dostojna, sroga dama, żyjąca życiem innych. Bałam się jej trochę na początku, kiedy przygarnęła mnie i Kajtka po śmierci mamy. Potem szczerze ją pokochałam, choć mamy nikt nigdy mi już zastąpić nie zdołał.

Mama nasza była drobna, smukła w talii, ubierała się w suknie z kołnierkami lub karczkami z gipsu i miała bardzo małe stopy. Jej pantofelki pasowały na moją nogę, gdy miałam dziewięć lat. Upinała wysoko puszyste włosy, miała delikatne rysy i błękitne oczy, które ostatnio były przezroczyście od gorączki. Już skończyła się bieda i głód po wojnie, a ona nie potrafiła zwyciężyć choroby. Pamiętam, jak płakała po kryjomu, że nie ma siły zająć się nami jak należy. A potem, zupełnie nieoczekiwanie, cichutko umarła pewnego wieczoru. Musiała walczyć z chorobą, bo nie pamiętam, żeby do ostatnich swych dni leżała w łóżku, najwyżej od czasu do czasu. Myślałam, że tego nie przeżyję, a jednak czas zagoił ranę. Siedzieliśmy z Kajtkiem pod stołem, dwójka jej starszych dzieci, i rozpaczaliśmy, aż oczy zapuchły nam zupełnie, podczas gdy mnóstwo znanych nam i nieznanym ludzi kręciło się po domu. Janię i Danusię od razu gdzieś zabrano.

Babcia Domańska nauczyła mnie wielu rzeczy, które mi się w życiu bardzo przydały. Uczyła mnie cierpliwości, gdy rozplątywałam wełnę, wpoila mi też miłość do książek, zwłaszcza historycznych. Przeczytałam ich u niej mnóstwo, były bowiem jej pasją i jedynym bogactwem. Do dziś pamiętam jej rady, maksymy wypowiedziane uroczystym tonem, ukradkowe, czule i zatroskane spojrzenia. Za nie właśnie ją pokochałam. I ona śni mi się najczęściej, kiedy chce mnie przed czymś ostrzec...

Po trzech latach ojciec ożenił się ponownie, zabrał wszystkie dzieci do siebie. Kochał nas. Był wówczas dyrektorem

Ubezpieczalni Społecznej. Mnie lubił najbardziej, byłam do niego najpodobniejsza z twarzy. Ale nie tylko za to. Mimo że nie miałam nawet czternastu lat, macocha większość starań o dom i dzieci zrzuciła na mnie. Właściwie zajmowałyśmy się wszystkim obie ze służącą. Macocha grywała w teatrach amatorskich, miewała migreny i śledziła ojca, bo był on mężczyzną wytwornym i przystojnym; miał szalone powodzenie u pań.

Tak to – klucząc – doszłam chyba do sedna sprawy. Śniłam dziś dom ojca i babcię Domańską, mówiła do mnie tekstem jednej ze swych słynnych maksym: „Nie dbaj o rzeczy i miejsca. Są sprawy świętsze niż pragnienie, żeby mieć, posiadać. Naucz się być...”.

Słowa te odbijały się echem w pustym salonie ojca i budziły we mnie uczucie grozy. Dziwne, że zapomniałam o tym śnie po zamieszaniu ze żrebakiem. Niewdzięczny zwierzak, tak się dzieci nim zachwyciły, biedaki. Wszystkie były bardzo przejęte zdarzeniem.

– Mama, połóż igłę, weź dziecko na lękę, nie słysisz jak płacze? – Wyrwał mnie z rozmyślań głos Kasi.

Córeczka nasza skończy niedługo trzy lata. Zrobiła się ostatnio bardzo gadatliwa. Odłożyłam haft i spojrzałam na nią. Bynajmniej nie płakała. Buzię miała zaróżowioną, mokre rajtuzy i ciągnęła za uszy błękitnego, kudłatego zająca.

– Czemu tak się nad nim znęcasz, pourywasz mu uszy!

Kasia niespodziewanie wymierzyła mu klapsa:

– Niedobry! Nie wiesz, jak się woła siusiu?

– Oj, Kasiu, Kasiu. Kto tu powinien dostać klapsa? Popatrz na swoje rajtuzy.

Zgarnęłam robótkę, włożyłam ją do koszyka i biorąc dziecko na rękę, poszłam w stronę domu. Upał już zelżał i słońce pochyliło się nad lasem.

Osada Hajewiszczce składa się tylko z czterech sporych posiadłości osadników wojskowych. Dom Witków jest najokazalszy. Stoją sobie gospodarstwa z dala od siebie, w zielonych ogrodach, rozległych sadach, a między nimi wierzby, sosny i klony wysokie o pniach owiniętych dzikim winem. Z jednej strony lasy, a z drugiej jak okiem sięgnąć ukwiecone łąki i pola.

Przebywam tu już trzeci miesiąc, a nigdy przedtem nie miałam tak posępnych myśli jak dzisiaj. Czy to ten sen o babce Domańskiej, czy to zdarzenie poranne, dość, że coś mnie dręczy.

Na progu zderzyłam się z Witkiem.

– Zosiu, przez to całe zamieszanie ze źrebakiem zapomniałam ci powiedzieć, że przyszedł list do ciebie, chyba od Piotra.

Serce zabiło mi niespokojnie.

– Gdzie go masz?

– Leży na komodzie.

Postawiłam Kasię na podłodze i rozerwałam niecierpliwie kopertę.

Warszawa, 25 sierpnia 1939

Moje śliczne Kobiety!

Już się cieszyłem, jak Was będę ścisnął, ale wygląda na to, że sprawa się odwlecze. Nie wiem, co tam Wy wiecie w Hajewiszczach, ale tu w stolicy trochę niepokoju. Mówi się jednak o wojnie. Niby nie zarządzono dotychczas mobilizacji powszechnej, ale przecież za dużo rezerwistów powołują na ćwiczenia.

Zochna, nie będę dalej owijał w bawełnę. Mój 11 pułk ułanów wezwał mnie na ćwiczenia. Może nic się za tym nie kryje, ale zobaczymy się znacznie później. A tak mi do Was już tęskno. Ba! Trudno. Powietrze za to w Hajewiszczach cudne i na zdrowie Wam pójdzie. Gdybyś się tam Witkom uprzykrzyła, niech Cię

zawiozą do rodziców w Iszkoldzi, będzie staruszkom rażniej. Wyślę Ci jeszcze pieniędzy i rzeczy trochę cieplejszych. Bądź dobrej myśli, moja dzielna mała zoneczko. Ściskam po stokroć Ciebie i Mgielkę moją. Grzeczne mi bądźcie i czekajcie na mnie. Jeszcze to sobie odbijemy!

Wasz kochający Piotr

Łza popłynęła mi po policzku. Witek stanął za mną.

– Co się stało, na litość boską?

– Nic. Tylko Piotr powołany na ćwiczenia. Opóźni się jego przyjazd.

– No wiesz! Nie wiedziałem, że ci u nas tak źle! – obruszył się Witek.

– Jest wspaniale. Ale nie pocieszaj mnie głupio. Sam też się niepokoisz. A mnie od rana coś dręczy...

– Daj spokój Zosiu! Czasy może niewesołe, lecz nic się jeszcze nie dzieje. Wszyscy jesteśmy rozstrojeni przez tego żrebaka.

– Wiesz przecież, że nie tylko. Ale dobrze już... Gdzie Kasia? Dopiero tu była.

– Nie martw się. Andzia się nią zajęła. Chodź, pomuzykujemy sobie.

Wiedział dobrze, co lubię. Witek był świetnym pianistą. Gdyby zajął się muzyką poważniej, mógłby osiągać sukcesy. Talenty artystyczne to jedyna, poza rysami twarzy, wspólna cecha braci Markowskich. Każdy z nich jest obdarowany nimi tak szczerze, że wobec innych ludzi jest to aż niesprawiedliwe. Malują, śpiewają, Piotr tłumaczy sonety Shakespeare'a i coś tam jeszcze, zamykając to na klucz w szufladzie. Upewniliśmy się, że Andzia usypia dzieci, więc Witek zasiadł do pianina. Zapaliłam świece. Słońce ledwie zaszło, a księżyc już wędrował

po niebie. Wiedziałam, że Witek pełen jest niespokojnych myśli i muzyką rozładowuje swój nastrój. Około północy rozeszliśmy się do swoich pokoi. Zamierzałam poczytać jeszcze, ale głowę miałam nabitą myślami i z nimi usnęłam.

Przez następne dni pogoda dopisywała niezmiennie. Anula wróciła ze Zdzisiem z Horodyszczy i miałyśmy pełne ręce roboty przy smażeniu konfitur ze śliwek. Zdzisio miał się dobrze i lobuzował z resztą dzieciaków.

We środę pojechaliśmy bryczką do miasteczka, bo Kazio – najstarszy syn Witków – miał iść już do szkoły i trzeba było go wykwipować. Dzieciarnia pełna wrażeń, z garstkami ściszkającymi nowe zabawki, pospała się w drodze powrotnej. Dojeżdżaliśmy do pierwszego domu w Hajewiszczach, kiedy dotarli do nas głośnie płacze i narzekania. Coś się tam działo. Zastanawialiśmy się właśnie, czy Witek powinien do nich zajrzeć, kiedy Osmakiewiczowa wyjrzała zza płotu.

– Takie nieszczęście, panie Markowski, taka bieda! – powiedziała do Witka, wycierając oczy.

– A cóż to u was zdarzyło się? – spytał Witek, zaciągając ze zdenerwowania po kresowemu.

– Michała do wojska powołali. Do czego to podobne. Zostawi mnie na łaskę losu z dziećmiakami! Ma się stawić razem z koniem...

– Niech się pani nie martwi, pani Osmakiewiczowa. Pójdzie na ćwiczenia i wróci. I tak, chwała Bogu, po żniwach. Nie damy pani zginąć!

Witek był zdenerwowany. Już od jakiegoś czasu, krzątając się w gospodarstwie, poganiał parobków, żeby robili różne rzeczy na wyrost. Zupełnie jakby coś przeczuwał czy też przewidywał. Przez resztę drogi milczał. Nikt z nas zresztą nie komentował zdarzenia. Po cichu borykaliśmy się z niepokojem.

Po powrocie do domu nasze nastroje szybko ukryły się pod powłoką codziennych, rutynowych zajęć.

Kazio załadował tornister nowymi zeszytami, założył go na plecy i zaczął maszerować wokół stołu, recytując: „Idę do szkoły! Idę do szkoły!”. Zdzisio, Marynka i Kasia jak papugi poszli w jego ślady. Cała czwórka maszerowała tak w kółko bez opamiętania, wrzeszcząc w niebogłose, póki im się nie zakręciło w głowach.

Dzień następny przy pięknej pogodzie rozpoczął się jak inne. Po śniadaniu Anula zaprzęгла Siwka do bryczki i oświadczyła, że jedziemy nad rzekę, żegnać z Kaziem jego ostatni dzień wakacji. Naszykowaaliśmy kosze z prowiantem, spakowałyśmy wiaderko, szpadelki, foremki do piasku i byłyśmy gotowe do drogi. Witek żałował, że nie może pojechać z nami, ale miał wiele roboty.

Pomysł z wycieczką nad rzekę był znakomity. Uszczęśliwione dzieci kręciły się niecierpliwie, póki nie znaleźliśmy się na miejscu. Brodziły sobie po płytkiej wodzie, kopały zawzięcie w piasku i gdyby nie liczyć zdarzenia z pijawką, której omal nie połknął pechowy Zdzisio, nic nie mąciłoby sielanki.

W ciągu tych letnich miesięcy bardzo zbliżyliśmy się z Anulą. Jest tylko o rok ode mnie starsza, ale mimo że ma już troje dzieci, czasem wydaje mi się rozbijającą bezradna. Stanowcza i zdecydowana bywa tylko wobec dzieci. W innych sprawach Witek jest mózgiem i motorem. Co rano zostawia jej karteczki z wypisanymi zadaniami na cały dzień, a ona punkt po punkcie załatwia sprawy i skreśla skrupulatnie polecenia z kartki.

– Anula – spytałam (patrzyłam, jak beztrosko macha nogami w wodzie, siedząc na przybrzeżnym kamieniu) – Anula, czy ty jesteś spokojna o Witka i o to, co się szykuje?

Spojrzała na mnie spłoszona.